

Szepty i zgrzyty z miasta K.

ROBERT KORDES

■ Najnowszy spektakl kaliskiego teatru to jakby ciąg dalszy historii znanej nam już z „Klęsk w dziejach miasta”. Ta sama para głównych bohaterów i ten sam motyw powracających wspomnień świata, którego już nie ma. Gdyby to było takie proste, mielibyśmy do czynienia z przedstawieniem udanym. Czego, niestety, o najnowszym przedsięwzięciu „Bogusławskiego” powiedzieć się nie da.

Architekt Van Der i podróżnik Marco Polo trafiają do miasta żyjącego podwójnym życiem. Życie jawne pozostaje utajone. Autorzy spektaklu nie są nim zresztą zainteresowani. Ich interesuje to, co niewidoczne i co rozgrywa się pod powierzchnią zdarzeń. – „K. albo wspomnienie z miasta” to opowieść o fantomowym życiu pewnej społeczności. Opowieść o niepamięci i wywoływaniu wspomnień. Historia o pomieszaniu czasów. Emocjonalne śledztwo pro-

wadzone w widzialnym mieście przez niewidzialną przeszłość – reklamuje swój spektakl Teatr im. W. Bogusławskiego. Brzmi to nie najgorzej, ale tylko pod warunkiem, że za tym anonsem kryje się interesująca fabuła solidnie utkana przez dobrego autora. Nic z tego. U podłoża wszystkich wykonywanych na scenie gestów, padających z niej słów i innych dźwięków, które słyszemy, nie leży żadna sensowna opowieść. Inaczej mówiąc – najslabszym ogniwem tego przedstawienia jest tekst. Jak określamy takie zjawisko? Od lat określamy je tak samo – przerost formy nad treścią.

Na początku był tekst

Wyobraźmy sobie reżysera, który chce zrobić dobry spektakl. Czy w takiej sytuacji sięgnie on po tekst kiepski lub wątpliwy, czy po taki, który wyda mu się w pełni przekonujący i przemawiający najsilniej? Jest to pytanie retoryczne, bo żaden reżyser przy zdrowych zmysłach nie wybierze tekstu kiepskiego,

jeśli może wybrać lepszy. A przecież może. Studnia literatury, w tym również literatury scenicznej, jest niezgłębiona. Istnieje mnóstwo tekstów dobrych i bardzo dobrych, które nigdy nie zostały zagrane w teatrze albo grywane są bardzo rzadko. Wystarczy tylko któryś z nich wyłowić i postarać się nie zepsuć tego, co już osiągnął autor. A w miarę możliwości dodać coś ciekawego od siebie.

Teatr zmierza do bełkotu

Niestety, tendencje we współczesnym teatrze zmierzają w zupełnie inną stronę i scena kaliska nie jest tu wyjątkiem. Oglądając „K. albo wspomnienie z miasta”, odnosiłem nieodparte wrażenie, że na potrzeby tego spektaklu najpierw wymyślono gesty, ruchy i dźwięki, a dopiero potem ktoś usiłował dopisać do nich historię, o której można by mówić, że dotyczy spraw istotnych, ma swoją wewnętrzną logikę, dramaturgię i przesłanie. Jeśli moje podejrzenie jest niesłuszne i jeśli na początku

był tekst – tym gorzej dla tekstu. Nie jest też argumentem przekonującym fakt, że autorka, **Agnieszka Jakimiak**, nie należy już do debiutantów i może pochwalić się pewnymi osiągnięciami. W takim razie mogła napisać lepszy tekst. Może się spieszyła, jak dzieje się to czasem w przypadku tekstów pisanych na zamówienie? A może nie czuje tematu, którego realizacji się podjęła? Zamiast opowieści ze sceny serwuje się nam wyrazy i zdania powyrywane z kontekstów, wielokrotnie powtarzane, czasem zagłuszone albo nieczytelne. Dużo w tym zabawy dźwiękiem i radości z figlowania z ludzkim słuchem. Może dałoby się z tego zrobić spektakl po prostu rozrywkowy? Ale twórczynie przedstawienia, wspomniana **A. Jakimiak** i reżyser **Weronika Szczawińska**, uparły się, że opowiedzą nam o historii Kalisza i że będzie to opowieść z bardzo poważnym przesłaniem. To już lepiej było opowiedzieć o starych magnetofonach szpulowych i kasetowych, które w tym spektaklu „grają” niemal na równi z aktorami. One jedne naprawdę mnie wzruszyły. Ile to już lat minęło od

czasu, gdy bawiłem się takimi grundigami?...

Dałoby się osnuć wokół nich niejedną opowieść bardziej sensowną, interesującą, a nawet zabawną niż „K. albo wspomnienie z miasta”.

Pustka z historią w tle

Być może jednak moje zastrzeżenia nie mają znaczenia dla ogółu publiczności. Bo ogół publiczności albo w ogóle nie słyszy w tym spektaklu tekstu, albo nie składa go w żadną znaczeniową całość. Co najwyżej może domyślać się, że twórcom chodzi o te wątki z dziejów Kalisza, które odnoszą się do zniszczenia miasta w 1914 r. i do późniejszej zagłady kaliskich Żydów. Ale ileż razy można opowiadać kaliszanom tę samą historię? Przecież stało się tak w przypadku „Klęsk w dziejach miasta”, a sentymenty żydowskie także są już motywem mocno wyeksploatowanym. Co więc pozostaje z najnowszego spektaklu kaliskiego teatru? Pozostaje cieszyć się dźwiękiem i ruchem, których w „K. albo wspomnieniu z miasta” jest naprawdę sporo. Oglądamy bowiem i słyszemy coś w rodzaju pokoju dziecięcego albo gromady

rozbrykanych maluchów goniących się dookoła piaskownicy. Van Der i Marco Polo w roli detektywów nie dochodzą do żadnego wniosku, niczego nowego nie odkrywają i ostatecznie muszą pogodzić się z bezowocnością swoich poszukiwań. Cała opowieść zmierza więc ku niczemu. No, chyba że ktoś jest wyznawcą tezy, że sensem podróży jest samo podróżowanie. W takim przypadku nie jest ważne, dokąd się jedzie, po co, jak długo ani czym. I można dalej snuć rozważania w rodzaju: – *Jedno życie, widzialne i słyszalne dla wszystkich mieszkańców i dla każdej przyjezdnej osoby, zdaje się toczyć tu i teraz. Drugie życie, kiedyś głośnie i wyraziste, prowadzone przez ludzi i miejsca, po których pozostały tylko ślady, toczy się podskórnym murtem, obecnie ledwo zauważalnym...*

Do niczego nikogo to nie zobowiązuje i podniesione jest na taki poziom ogólności, że niewiele znaczy albo może oznaczać wszystko. Pustka jest formą, forma jest pustką.